

Wybaczam tylko raz

Nie mam już czasu
na głupoty
i na rzeczy
nieprzemyślane



FOT. MICHAŁ MROWIEC/FORUM

■ Co przyniósł pani rok, który mija?

– Kolejne role i coś zupełnie nowego: zostałam producentem swoich rzeczy, nie wszystkich, ale kilku. I to zupełnie odmieniło "optykę" na wiele spraw. Nie jestem z tego powodu specjalnie szczęśliwa, ale to konieczność czasu.

■ Nastąpiło niewyobrażalne "przyspieszenie" w pani karierze. Role, które zagrała pani w ostatnim czasie, budzą podziw. Jakim wyzwaniem była "Mała Steinberg", a jakim śpiewanie na scenie operowej w "Siedmiu grzechach głównych"?

– O! To zupełnie dwie różne rzeczy i z różnych powodów zrobione. Obie były wielkim ryzykiem artystycznym, ale mam poczucie, że mogę sobie pozwolić na ryzyko po tylu latach pracy. A poza tym bez dreszczu ryzyka i ja, i publiczność czulibyśmy się mniej usatysfakcjonowani.

■ Wiem, że w planach jest dynamiczna rola Marty w "Kto się boi Virginii

KRYSTYNA JANDA debiutowała na scenie rolą w "Ślubach pańskich" w 1976 r. Zaraz potem był "Człowiek z marmuru". Od tego momentu datuje się bogactwo jej ról filmowych: "Granica", "Bez znieczulenia", "Człowiek z żelaza", "Przesłuchanie" (Złota Palma w Cannes), "Kochankowie mojej mamy" i "Dekalog". Równocześnie tworzy świetne kreacje teatralne (m.in. "Edukacja Rity", "Shirley Valentine", "Kobieta zawiedziona", "Makbet", "Medea", "Fedra", "Lekcja śpiewu", "Marlena" i "Opowiadania zebrane") oraz telewizyjne (m.in. serial "Modrzejewska" czy "Elektra"). W końcu zaczyna ją fascynować reżyseria telewizyjna ("Klub kawalerów"), filmowa ("Pestka") i teatralna ("Opowiadania zebrane"). Ogromnym sukcesem reżyserskim i aktorskim Jandy jest ostatnia premiera Teatru TV – "Zazdrość".

Woolf", ciągle pani reżyseruje. Jak pani wytrzymuje to "ponaddźwiękowe tempo"?

– Wytrzymuję. Gdybym nie wytrzymywała, nie robiłabym tego

wszystkiego. Widocznie taki jest mój rytm. Ale ja nie pracuję dużo, tylko efektywnie. Premiera "Virginii" i inne nowe rzeczy dopiero na wiosnę. Teraz będą święta, potem Nowy Rok, a w styczniu jadę na dwa tygodnie na narty. Spokojnie! Najpierw się zabawimy i odpoczniemy.

■ Czym jeszcze może pani nas i siebie zaskoczyć?

– Sama jestem ciekawa, co wymyślę dalej, co mi przyniosą życie i czas. Będę się starała dokonywać interesujących wyborów i nie nudzić ani widzów, ani siebie.

■ Jak dziś brzmi pani motto zawodowe? A jak życiowe?

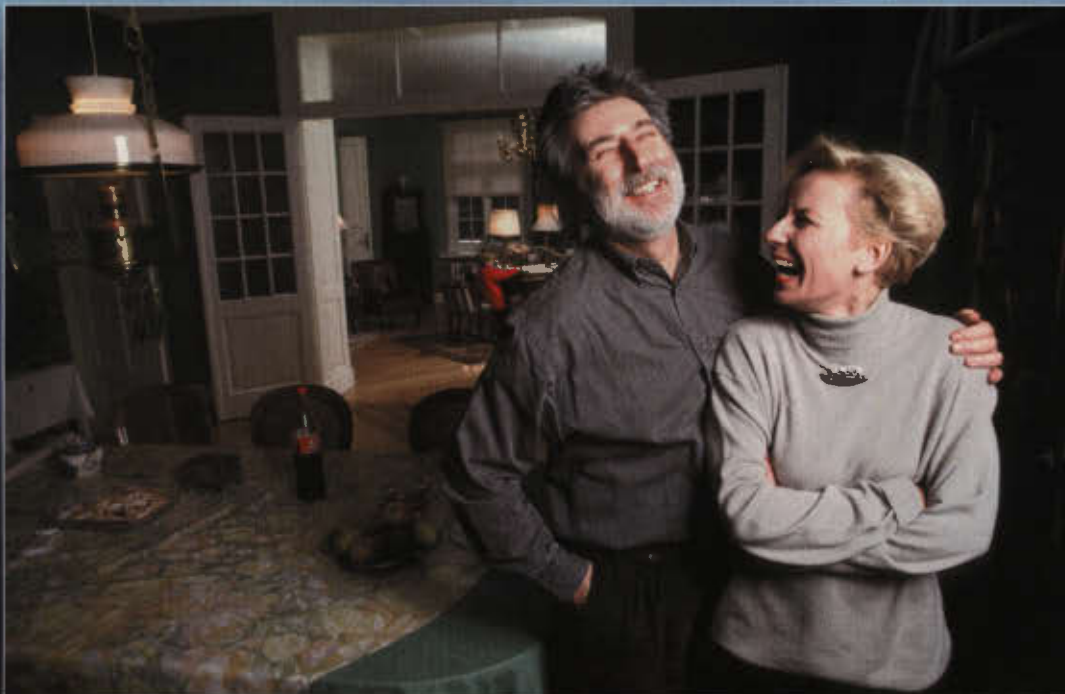
– Mądrze działać w każdej sprawie. Nie mam już czasu na głupoty i na rzeczy nieprzemyślane. Ile jeszcze zostało mi aktywności i aktualności, aktywnej obecności w zbiorowej wyobraźni? Niewiele!

■ Imponująca jest pasja, z jaką uprawia pani aktorstwo. Co spowodowało wybór właśnie tego zawodu?

– Przypadek. O szkole teatralnej nigdy nie myślałam. Nie wygłaszałam wierszy na akademiach, nie oglądałam przedstawień, nie należałam do kółek amatorskich. Chodziłam do liceum plastycznego i po maturze chciałam zdawać na ASP Koleżanka, która wybierała się na studia aktorskie, poprosiła kiedyś, abym z nią poszła do szkoły teatralnej, ponieważ chciała zaprezentować się przed komisją wstępnie kwalifikującą przydatność do zawodu. Czekałyśmy pod drzwiami trzy godziny. Nie było rady, w końcu trzeba było zapukać i zrobić awanturę. Poszłam więc ja, jako niezainteresowana. W gabinecie zastałam kilka osób, byli tam także prof. Bardini i prof. Rudzki. Powiedzieli, że to ja powinnam zdawać. Tak naprawdę oni obaj podsunęli mi pomysł. Coś mnie kusilo, żeby

Krystyna Janda z mężem, Edwardem Kosińskim...

...i z córką, Marysią Seweryn.



FOT. PIOTR MAŁECKI/FORUM

Rozmowa z Krystyną Jandą



FOT. MICHAŁ ABRONIEC/FORUM

go sprawdzić. Przygotowałam się i zgłosiłam na egzamin. Zostałam przyjęta. Po dwóch tygodniach zajęć wiedziałam, że znalazłam swoje miejsce.

■ **Jak wspomina pani debiut na zawodowej scenie?**

– Okropnie. Do dziś mam ciarki na plecach, gdy o tym myślę. To była Aniela w "Ślubach panińskich" w reżyserii prof. Świderskiego. Miałam wystąpić obok Aleksandry Śląskiej, prof. Świderskiego, Grażyny Barszczewskiej, Tadka Borowskiego i Andrzeja Seweryna, wówczas mojego męża. W dniu premiery spuchłam ze zdenerwowania, dostałam wysypki, na dekolcie miałam czerwone plamy wielkości pięści. Ponieważ nie dało się ich niczym zamalować, dekolot w ostatnim momencie próbowano przykryć tiulem. Można sobie wyobrazić, co czułam, gdy kurtyna poszła w górę. Myślałam, że za chwilę umrę, takie towarzy-

szło temu napięciu. Okropnie się pomyliłam w tekście. Zamiast kwestii: "Co, ja bym takie listy pisać miała", powiedziałam: "Co, ja bym takie pisy..." Przejęczyłam się i nawet tego nie zauważyłam. Nie wiedziałam, dlaczego koledzy w kulisie pękają ze śmiechu, sala też. Na szczęście Andrzej Seweryn, który w tym momencie był ze mną na scenie, grał dalej.

■ **Następna rola, czyli tytułowy Dorian Gray w Teatrze Narodowym, była sukcesem. A później runęła prawdziwa lawina wybitnych kreacji. Dziś można śmiało powiedzieć, że osiągnęła pani zawodowe mistrzostwo. Czuje się pani gwiazdą?**

– I tak, i nie. Tak, w tym sensie, że zwracam uwagę na to, co mówię i robię, bo mam uczucie, że jestem obserwowana. Tak, dlatego, bo muszę pilnować jakości tego, co robię, starać się być na poziomie oczekiwań widowni albo inaczej, starać się być lepszą, głębszą

i poważniejszą aktorką, niż widzowie oczekują. Muszę być atrakcyjnym partnerem, który ich wyprzedza w myśleniu. Ale z drugiej strony, wielkie NIE! Nie czuję się gwiazdą! Nikt dla mnie niczego nie robi, nikt o mnie nie myśli. Robię wszystko sama. Wymyślam sama. Realizuję sama. Poza tym, czy ja wyglądam na gwiazdę? No, chyba nie.

■ **W kręgu pani zainteresowań znalazły się teksty teatralne o wielkich postaciach sceny i ekranu: Marii Callas i Marlenie Dietrich. Czy penetrując ich dusze, dowiedziała się pani czegoś o sobie?**

– Tak, ale nie więcej niż przy konstruowaniu zwykłej postaci fikcyjnej. Naprawdę lubię trudne i ryzykowne zadania. Bawią mnie te, które dają szansę na transformację.

■ **Czy, pani zdaniem, dzisiaj można stworzyć taki mit, jakim były Marlena czy Callas?**

– Myślę, że tak. Równie wielki, ale inny, bo budowany na innych wartościach. Czasy się zmieniły. Wtedy gwiazda była kimś niedostępnym i niedoścignym. Tajemniczym i niezrozumiałym. Doskonałością. Dziś aktorzy wychodzą ze skóry, aby być podobnymi do ludzi, którzy siedzą na widowni. Ale takie są wymagania publiczności.

■ **Wielką sztuką jest siebie wykreować. Czy można to jednak zrobić samodzielnie, bez niczyjej pomocy?**

– Nie sądzę.

■ **Kto zatem wykreował panią?**

– Kartę wizytową, którą wciąż się posługuję, dał mi Andrzej Wajda. Andrzej jest niewątpliwie najważniejszym człowiekiem w moim życiu zawodowym. Pierwszy film, pierwsza rola i praca z tym niezwykłym artystą. Obserwowanie go i rozumienie jego sposobu myślenia było prawdziwą szkołą i wartością na całe dalsze życie zawodowe. Dzięki niemu zrozumiałam, że warto być ekstremalnym, odważnym i działać skrajnie indywidualnie. Żadnej szansy, którą dostałam, nie zaprzepaściłam, z każdej skorzystałam. I paradoksalnie ani razu w ciągu tych 26 lat nie udawałam nikogo innego, niż jestem.

■ **Ktoś napisał o pani: "Krystyna Janda równa się talent, charyzma plus szczęście plus praca".**

– Nie. Inteligencja i świadomość. Bez tego nie byłoby mowy o żadnym sukcesie. Trzeba umieć odróżnić to, co mądre, od tego, co głupie. Rozumieć, w czym się uczestniczy, w jakim kraju się żyje, z jakimi widzami rozmawia. Trzeba umieć rozumieć czas.

■ **Jakie cechy charakteryzują panią najlepiej?**

– Ciekawość. Ambicja. Otwartość. Bezpośredniość reakcji. Impulsywność. I przede wszystkim niepokój, który zmusza do ciągłych poszukiwań. Ta cecha "pcha" mnie i prowadzi do przodu.

■ **Co jest głównym motorem napędowym?**

– Nie wiem. Chyba temperament. Moi bliscy śmieją się, że dzień bez "wyprodukowania" czegoś uważam za stracony. Poza tym zdaje się, że posiadam umiejętność wykorzystywania do pracy zawodowej właściwie wszystkiego: dni spotkań, refleksji, przeczytanych książ-

żek, zauważonych reakcji, nawet własnych stresów i niepowodzeń. Wszystko przydaje mi się w zawodzie i budzi nowe pomysły.

■ **W kolejnych rolach pokazuje pani po mistrzowsku zupełnie nowe możliwości. W jaki sposób doszła pani do tego?**

– Jestem świadomą aktorką. Zawsze szczegółowo analizowałam, dlaczego coś się podoba albo nie podoba. Dlatego jeden temat trafia, a inny nie. Pracuję całkowicie świadomie i myślę, że rzemiosło mam w ręku.

■ **Jak znosi pani pochwały?**

– Z podejrzliwością.

■ **A krytykę?**

– Staram się analizować spokojnie. Mądre uwagi przyjmuję.

■ **A jeśli spotyka pani niesprawiedliwość ze strony recenzentów?**

– Emocje w tej sprawie minęły. Coraz częściej uważam, że to jest ich problem osobisty ze mną. Ale nie warto o tym mówić. Szkoda czasu.

■ **Czym można panią zdemotywować?**

– Fałszem. Obludą. Może dlatego, że mam ucho wrażliwe na prawdę, nie znoszę kłamstwa i udawania.

■ **Umie pani wybaczać?**

– Myślę, że potrafię wybaczyć wszystko. Kilka razy zawiodłam się na przyjacieli, a mimo to wybaczyłam kłamstwo i nielojalność.

Wybaczam jednak do czasu. Po raz kolejny dotknięta nielojalnością, odwracam się już definitywnie.

■ **Czy czuje się pani osobą spełnioną?**

– Jestem spełniona, według mojej skali. To znaczy, że moje szczęście jest na moją miarę.

Gdybym przyłożyła do swojego życia inną skalę, to nie byłabym spełniona, bo martwiłabym się na przykład, że nie zrobiłam kariery światowej. A ja w ogóle tym się nie martwię. To, co osiągnęłam, całkowicie mnie zadowala.

■ **Jaki jest pani największy sukces?**

– Dzieci. Wszystkie kobiety tak mówią i to jest prawda. W moim przypadku dodatkowo posiadanie trójki dzieci przy tym tempie życia i przy wymaganiach, jakie stawia mi zawód, to prawdziwy powód do dumy. A te trzy dni po trzech porodach były tymi najszczęśliwymi dniami w moim życiu.

Nie wygłaszałam wierszy na akademiach, nie oglądałam przedstawień, nie należałam do kółek amatorskich.

■ **Pierwsze dziecko zdecydowała się pani urodzić, będąc jeszcze na studiach. Czy tak wczesne macierzyństwo było trudnym doświadczeniem?**

– Bardzo trudnym. Marysia skończyła pół roku, gdy dostałam propozycję zagrania Anieli w "Ślubach panińskich" i głównej roli w "Portrecie Doria Gray". Miała dziewięć miesięcy, kiedy zaczęłam grać w "Człowieku z marmuru". Intensywnie pracowałam i całym dniami byłam poza mem.

Zawsze wydawało mi się, że tam coś złego dzieje się beze mnie. Do dzisiaj wspominam to jako 12 lat bólu brzucha.

■ **Kto panią zastępował przy córce?**

– Miałam gosposię. Honorata była niezwykle indywidualnością. Kochała moje dziecko i mnie ogromną, wierną miłością. Przez 11 lat dzieliła z nami życie. A potem był cały łańcuch ludzi dobrej woli.

■ **Szokuje wszystkich, że jest już pani babcią. Jak pani "konsumuje" tę rolę?**

– Normalnie. To nic nadzwyczajnego. Jeszcze jedna innego rodzaju przyjemność i doświadczenie.

■ **Pamięta pani dzień, gdy Marysia przyszła i powiedziała: "Będę miała dziecko"?**

– Pamiętam. Płakałam jak bób, bo uważałam, że zabiera sobie najpiękniejsze lata życia, tak zwaną opcję zero, gdy wszystko jeszcze może się zdarzyć, zmienić i potoczyć inaczej.

■ **Czy z chwilą przyjscia na świat wnuczki pomyślała pani: "To już koniec młodości"?**

– Nie! Moja młodość skończyła się dawno. Nastąpiło to w chwili podjęcia decyzji o rozstaniu z pierwszym mężem. Miałam wtedy 28 lat. To była decyzja naprawdę dorosłej i świadomej osoby.

■ **Edward Kłosiński, pani drugi mąż, jest również wybitnym artystą i ogromnie sympatycznym człowiekiem. Ma pani przy nim poczucie bezpieczeństwa?**

– Edward jest podstawą mojej egzystencji. Zna mnie, rozumie i z cudowną ironią potrafi precyzyjnie odgadnąć, co się we mnie dzieje. Ma filozoficzny dystans do moich zawodowych szaleństw. A dzięki temu, że zawodowo realizujemy się osobno, bo każde z nas ma swoje sprawy i swój świat, nasz związek funkcjonuje bardzo dobrze. Jesteśmy razem ponad 20 lat. Zanim go poznałam, moje życie było chaotyczne. Miotalam się, miałam trudności z podejmowaniem decyzji, byłam niepewna siebie. Bałam się, że nie potrafię mądrze postąpić w wielu sytuacjach. Edward wprowadził w moje życie ład i równowagę. Dzięki niemu mam poczucie bezpieczeństwa. A przede wszystkim lubimy się.

■ **Jak pani spędza wolny czas?**

– Mam liczną rodzinę, dzieci, duży dom, psy, koty i ogród. To naprawdę mój świat.

■ **Czym kieruje się pani w wychowywaniu synów?**

– Miłością. Staram się tylko, aby nie była ślepa.

■ **Znajduje pani czas dla chłopców przy tej ilości pracy?**

– Wszyscy mnie o to pytają. Odpowiadam zawsze tak samo. Adasia i Jędrka wychowuje przede wszystkim ich ojciec. Mąż robi jeden,

dwa filmy rocznie, a resztę czasu spędza w domu z synami. Ja jestem z nimi wtedy, kiedy mogę. Edward od początku ustawił nasze życie tak, że moje sprawy zawodowe są ważniejsze niż jego.

■ **Najpiękniejsze miejsce na świecie?**

– Małe miasteczko nad morzem w Toskanii, niezmiennie pięknej i balsamicznej, jak cudowny specjał na skołataną nerwy. Jeżdżę tam na wakacje od 11 lat. Dni tu są podobne do siebie. Zazwyczaj rano jadę rowerem na plażę wśród kwitnących mimoz. Później siedząc na leżaku, patrzę godzinami w morze. Po południu zasypiam w cichym, wypełnionym dźwiękiem cykad domu. Wieczorem z książką w ręku siadam na tarasie i czytam otulona zapachem piniowych drzew. I tak co roku. Przez dwa tygodnie jestem sama, a potem przyjeżdża mąż z synami i grono przyjaciół. Zaczynają się wielkie, zbiorowe wakacje, a dla mnie zupełna zmiana życia.

**Rozmawiała
Jadwiga Polanowska**